Zaczynał Pan naukę w noworudzkim liceum 1 września 1945 roku jako jeden z pierwszych.

Zygmunt Cyman: Zaczynaliśmy chyba 2 albo 3 września. Ale nie jestem absolwentem noworudzkiego liceum – uczyłem się tu przez pierwsze trzy lata, a potem przeniosłem się do technikum rolniczego w Chojnowie.

A pamięta Pan swój pierwszy dzień w liceum – kojarzy się ze strachem, lękiem, a może radością?

ZC: Nie, niczego takiego szczególnego nie zapamiętałem. Wie pan, ja byłem w ogóle spokojnym, cichym człowiekiem. W czasie wojny byłem w obozie pracy koło Bydgoszczy. Ciężko tam pracowałem. A zaraz po zakończeniu wojny, dokładnie 15 sierpnia 1945 roku, przyjechałem do Nowej Rudy. Mieszkałem na ulicy Armii Krajowej 15, ale wtedy ona nazywała się Armii Czerwonej. Kiedy się tam wprowadziliśmy, od razu zacząłem szukać szkoły, bo miałem już ponad 16 lat i trzeba było coś ze sobą zrobić. Potem ojciec postanowił przejąć małą gospodarkę w Woliborzu i tam się przeprowadziliśmy. Ojciec zawsze mówił, że pewnie za rok najdalej wyjedziemy, więc po co tu zapuszczać korzenie. A 15 sierpnia będzie 70 lat, jak tu mieszkam (śmiech).

Miał Pan ulubione zajęcia, ulubionych nauczycieli albo takich, których profilaktycznie pan unikał?

ZC: Nie, nauczyciele w liceum byli bardzo przyjemni.

Jadwiga Cyman: On był bardzo pilnym uczniem (*śmiech*).

Pani też chodziła wtedy do liceum?

JC: Nie, ale znam go od 1946 roku. Mąż był wyjątkowo pilnym uczniem – nauczyciele bardzo go wychwalali. Nawet później, kiedy już byliśmy małżeństwem, kiedy nas spotykali, zawsze powtarzali, że to był wyjątkowo pilny uczeń.

Skąd pochodzili Pańscy nauczyciele?

ZC: Zjechali tu z całej Polski., na przykład pan Antoni Rzęsikowski był z Nowego Sącza, pierwszy dyrektor, Józef Czechowicz, to nie pamiętam, ale był Stanisław Grydyk, mój pierwszy wychowawca, pani Jadwiga Topolska, polonistka.

Polonistki często były postrachem liceum. W Pana czasach też?

ZC: Nie, absolutnie! Ja miałem ogromne zaległości z czasów wojny. Przed wojną skończyłem tylko trzy klasy szkoły podstawowej, a potem chodziłem do szkoły niemieckiej, bo Bydgoskie było włączone do III Rzeszy. Dlatego język niemiecki nieźle znałem, ale gorzej było z polszczyzną. Szczęśliwie polonistka była dla mnie wyjątkowo wyrozumiała – pilnowała mnie bardzo. Właściwie nie było dnia, żeby mnie nie wywoływała do odpowiedzi.

Chodź Zygmunt – zobaczymy, co umiesz?

ZC: Tak, sprawdzała to. Dzięki temu udało mi się trochę nadrobić braki.

Rozumiem, że to była miła osoba?

ZC: Wie pan, ona taka bardzo miła to nie była... Ale w stosunku do mnie zachowywała się inaczej, bo wiedziała, w jakich warunkach żyłem wcześniej. Była więc dla mnie wyjątkowo wyrozumiała.

Pytam Pana o ulubionych nauczycieli i tych mniej ulubionych, bo zawsze wśród nauczycieli ma się swoje sympatie i antypatie.

ZC: Ale oni wszyscy byli raczej bardzo przyjemni. Naprawdę nie pamiętam, żeby któryś z nauczycieli bardzo się na kogoś uparł.

Z Pana opowieści wyłania się nieco sielankowy obraz liceum w Nowej Rudzie. Nigdy nie broiliście, nie mieliście niemądrych pomysłów w szkole?

ZC: Nie, takich rzeczy nie było. Może dlatego, że każdy miał za sobą jakieś trudne wojenne przeżycia. My też byliśmy przez to jacyś łagodniejsi, może przedwcześnie dojrzali. Poza tym większość uczniów miała po 16-17 lat, wtedy to był dojrzały człowiek. Zresztą ożeniłem się, gdy miałem 20 lat.

Pana żona wspomniała, że poznaliście się w 1946 roku, co znaczy, że szybko zapałaliście do siebie gorącym uczuciem? A to by znaczyło, że pod tym względem wcale tak bardzo się nie różniliście od pokolenia Waszych wnuków.

ZC: No tak, rzeczywiście. Ale muszę dodać, że byli w szkole różni ludzie, z różnych stron świata – jedni przyjechali z Francji, inni z Kresów Wschodnich, jeszcze inni z Polski Centralnej.

A były animozje między osobami z różnych stron?

ZC: Nie było czegoś takiego wśród młodzieży. Może ci z Francji trzymali się trochę z boku, ze sobą głównie się zadawali. Ale znalem wielu z nich, kwitło życie towarzyskie – z ich udziałem również. Przecież tutaj wszyscy skądś przyjechali, żyli na podobnych warunkach, trzeba się więc było jakoś sensownie urządzić.

Zdarzało się, że ktoś zostawał na następny rok?

ZC: Jakoś przechodziłem z klasy do klasy, ale szło mi trudno. Miałem kłopoty z wieloma przedmiotami, poza językiem niemieckim, bo przecież kończyłem niemiecką szkołę podstawową. Ale trzeba podkreślić, że poziom nauczania w niej był kiepski – gorszy niż u nas. Szczególnie słaba była matematyka. Oni głównie uczyli pisać listy, jakieś rozliczenia miesięczne robić – to były takie bardzo praktyczne rzeczy.

Mieliście mundurki?

ZC: Nie, ale trzeba było nosić tarcze.

JC: Mundurki też mieliście, jak to nie – przecież jak cię poznałam, chodziłeś w granatowym garniturze z niebieskimi wypustkami i z czapką!

ZC: Ale to nie był obowiązkowy ubiór – obowiązkowe były tylko czapki i tarcze.

Ale do tego mundurka nie chciał się Pan przyznać...

JC: A to mi się tak bardzo podobało właśnie (śmiech).

ZC: Pamiętam, że w niedzielę zbieraliśmy się w szkole i razem szliśmy na mszę świętą.

I dyrektor w socjalistycznej szkole zgadzał się na to?

ZC: Mało że się zgadzał – on te wyjścia na mszę organizował. Tak było w 1945-1946 roku.

JC: Zaostrzenia w tym względzie wprowadzono w 1947 roku.

Z Pana opisu wynika, że byliście niemal święci. Nie wierzę w to, bo w każdym młodym człowieku tkwi choćby odrobina ułańskiej fantazji i ona musi gdzieś znaleźć ujście...

JC: Ale wie pan – w liceum był chór, był teatr, coś się działo.

Pan w jakich zajęciach brał udział?

ZC: Byłem w chórze.

A wolno było wtedy licealistom trzymać się za ręce?

JC: Wolno było, oczywiście! My poznaliśmy się przez mojego brata, bo on wcześniej wyjechał i przyjaźnił się z Zygmuntem. Wiedziałam więc, że Zygmunt miał tu swoje sympatie. One mi potem mówiły, jak się spotkaliśmy: „To była moja sympatia!”.

Pamięta Pan te licealne sympatie?

ZC: Eee, nie...

JC: No jak to nie?! On zawsze był taki skromny, w szkole też. Pamiętasz, była na przykład Marysia, córka fotografa?

Słyszę, że Pani znakomicie zapamiętała mężowskie sympatie z liceum...

JC: Bo one mi mówiły, że Zygmunt był ich sympatią, a ja im w drogę wlazłam.

ZC: Ja byłem bardzo wstydliwy, dlatego że w czasie wojny w 1939 roku nas wysiedlili – wszystko nam zabrali. Ojcu zabrali sklep, zakład obuwniczy – i to jego pracownik, Niemiec. My mieszkaliśmy potem w takim małym pokoiczku, właściwie w komóreczce, a było nas czworo dzieci. Było bardzo trudno – ojciec wrócił z niewoli w sierpniu 1945 roku. Nasz dom rodzinny zajął już ojca brat z rodziną. Postanowiliśmy przyjechać tu. Były wolne domy, mieszkania. I rzeczywiście – mieliśmy mieszkanie w Nowej Rudzie, a potem ojciec znalazł w Woliborzu chatkę krytą słomą. Ale za to tam były świnie, dwie krowy, jałówka, kury – uznał więc, że z tego będzie można żyć. Poza tym prowadził sklep spółdzielczy z kolegą.

Jak się Pan wybierał do szkoły z Woliborza?

ZC: Jak to jak – pieszo chodziliśmy tych pięć kilometrów. Później jakiś rower skombinowałem i jeździłem, chociaż pod górkę ciężko było... Potem spotykaliśmy się w drodze do szkoły z Włodkiem Szyprem, był też Zdzichu Leśniak. I zawsze droga była wesoła. Tyle że trzeba było przed godziną 7 wyjść z domu, żeby na 8 zdążyć na lekcje.

JC: Tu poprzyjeżdżali ludzie z różnych stron, z różnym stanem wiedzy. I na przykład na wschodzie polskich szkół nie było, gdy wkroczyli Ruscy. Musieliśmy się uczyć po rosyjsku. My polskiego uczyliśmy się w domu katechetycznym, w czytelni – już po lekcjach w rosyjskiej szkole.

Trudno było mieć wysokie wymagania w stosunku do uczniów. Wielka mieszanka ludzi...

JC: Ale to było bardzo przyjemne.

Dlaczego?

ZC: Był elegancki klub w Woliborzu po niemieckiej restauracji. Nie było soboty czy niedzieli, żeby młodzież nie tańczyła. A ile było tej młodzieży!

JC: A tańczyło się przy adapterze.

ZC: Były też zespoły teatralne, chór.

JC: Moi bracia grali na instrumentach – było przy czym tańczyć. Zabawa trwała do 22, potem wszyscy szli do domów. I nikt nie pił alkoholu – była co najwyżej oranżada.

Właśnie – a jak było z papierosami i alkoholem w szkole?

ZC: Nie było o tym jakiejkolwiek mowy – nikt nie próbował. Było za to dożywianie, pomoc z UNRY. Zawsze była kawa z mlekiem, kakao, bułka. Szczególnie życzliwym człowiekiem był woźny – jak się z rowerem przyszło do szkoły, to pilnował, zaopiekował się. Z kolei dyrektor Rzęsikowski pilnował zimą, żeby chłopcy mieli czapki na głowach, żeby się nie przeziębili.

Krzyczał, kiedy ktoś zapomniał?

ZC: Tak, jak było minus pięć stopni, to trzeba było mieć czapkę. Jak ktoś zapomniał, dostawał po głowie od dyrektora. Trzeba było też zawsze mieć tarczę.

Były kary dyscyplinarne?

ZC: Eeeeeee

JC: On sam to załatwiał., po cichu (*śmiech*). Zawsze mówił, że nie będzie rodziców fatygował, bo oni mają dosyć roboty. Wlał i było po sprawie – oczywiście jak ktoś coś poważnego przeskrobał.

ZC: Ale kiedy nauczyciel coś powiedział, uczniowie to bez szemrania wykonywali. Nie było tak, jak dzisiaj, że się stawiają nauczycielom.

Nie egzekwowaliście swoich praw uczniowskich?

ZC: A skąd, żadnych praw uczniowskich nie było!

Wspomniał Pan z wielką sympatią woźnego. Musiał być dobrym człowiekiem.

ZC: Nie pamiętam nawet, jak on się nazywał. Mówiliśmy na niego Dziadek. Chodził z fajeczką. Pilnował wszystkich, a jak była potrzeba, to nawet czapkę uczniowską pożyczał – miał zawsze w zapasie jedną rezerwową. To był taki naprawdę dobry człowiek: trochę ochroniarz, trochę dobry dziadek, konserwator, doradzał nam też w trudnych sprawach. Nawet jak gdzieś komuś powietrze zeszło z opony w rowerze, załatwiał to. Z dziadkiem można było załatwić każdą trudną sprawę – zawsze wiedział, co zrobić.

Wspomnieliście Państwo o różnicach między ówczesną szkołą a dzisiejszą.

JC: Pamiętam, jak do liceum chodził nasz pierwszy syn, który już niestety nie żyje. Byłam cały czas w komitecie rodzicielskim. Ciągle organizowaliśmy zabawy, przedstawienia, festyny. Mieliśmy tyle pieniędzy, że mogliśmy finansować obozy wędrowne. Na ten cel były przeznaczane pieniądze z karnawałowych zabaw, z andrzejek. Wszyscy wyjeżdżali razem.

ZC: Wtedy nie było dużych różnic, jeśli chodzi o zamożność ludzi.

Ktoś bogatszy nie próbował się wyróżnić?

JC: Nie , w ogóle tego nie było.

ZC: Ale też nikt się nie pytał, ile zarobi za organizowanie czegoś. Robił to społecznie. Cieszył się, że może coś zrobić.

Wróciłby Pan raz jeszcze do liceum, gdyby była taka możliwość – ale do tego współczesnego?

ZC: Nie myślałem o tym... Dzisiejsze liceum mocno różni się od tego, co było w moich czasach.

Jest inne, czyli jakie?

ZC: To znaczy, że na pewno nie chciałbym mieć takich uczniów jak dzisiaj (śmiech). Może oni dla siebie nawzajem są mili, ale kiedy widzę, jak przed pójściem do szkoły wchodzą za nasz budynek i palą (sam nie wiem, co, bo potem są tacy rozbawieni), nie podoba mi się to. Kiedyś tego nie było. Chociaż my byliśmy też w innych warunkach wychowani – wszystko robiliśmy chętnie z tej wielkiej radości, że wreszcie się wojna skończyła. Przy liceum działało bardzo prężne harcerstwo.

Liceum było prestiżową szkołą?

ZC: Tak, było w porównaniu ze szkołami zawodowym, których wtedy tu było dużo. Do liceum się wybierało lepszą młodzież.

JC: Rodzice sami kierowali swoje dzieci.

ZC: Egzaminów nie było, ale moi rodzice musieli pójść do szkoły i się starać, żebym został przyjęty.

A jak się starali?

ZC: Poszli ze mną do dyrektora. A, jak już wspominałem, byłem po tej kiepskiej niemieckiej szkole i miałem bardzo duże braki w wykształceniu.

JC: Ale kiedy nasz pierwszy syn szedł do liceum, też musieliśmy się tam z nim pokazać, porozmawiać, przedstawić dziecko. Wtedy był dyrektor Rzęsikowski, a potem Antoni Mackiewicz.

Czy wtedy przyszłoby Państwu do głowy, żeby iść do szkoły i kłócić się z nauczycielem o oceny waszych dzieci?

ZC: Och Boże, nie! To w ogóle nie było możliwe! Człowiek nawet o tym nie myślał.

JC: Ja bym się wstydziła czegoś takiego. Jeszcze dziecko dostałoby w domu lanie. Nasze dzieci akurat były grzeczne – mieliśmy trzech synów, ale dobrze się uczyli, kłopotów nie mieliśmy. Ale kiedy słyszę, co teraz ludzie potrafią w szkole wymyślić, to się włos na głowie jeży.

Świetne było to Wasze liceum – bawiliście, się, tańczyliście, śpiewaliście, jeździliście na obozy...

ZC: A zimą często organizowaliśmy kuligi.

Ale jak Wy ze sobą rozmawialiście, skoro nawet Facebooka nie było? Co za straszne czasy...

JC: A no na przykład organizowaliśmy gry fantowe i dużo rozmawialiśmy ze sobą. Czasami cały mój dom rodzinny był pełny ludzi. Herbatę się zrobiło, mama napiekła pączków czy chrustu i znakomita impreza była! Ludzie pochodzili z różnych stron, więc opowiadali sobie różne rzeczy. Ciekawie było się dowiedzieć, jak to było w stronach, których nigdy nie odwiedziliśmy. Naprawdę, było wspaniale.

Dziękuję za rozmowę.

